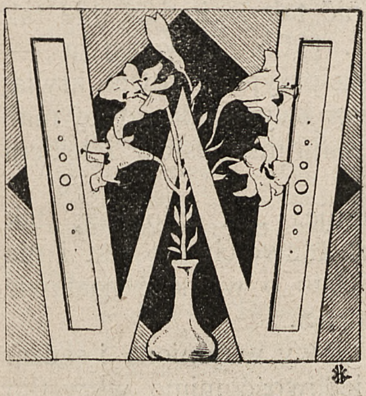


ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI

DR. JUDYM.

Z OPŁATKIEM.



ieczór zimowy zapadł na zaśnieżone niwy. Zamigotały gwiazdy na widnokręgu, srebrnem światłem przepoiły przestworza. Od ciemnej Odry po daleką Dźwinę i siny Dniepr, od wielkiej wody Bałtyku po łagodne Karpat grzbiety i ostre turnie Tatr — rozpłonęły siedziby ludzkie rzęsistym blaskiem godowej biesiady.

Odwiecznym obyczajem ojcowie rodzin rozdzielają chleb biały i kładą spracowane dłonie na głowach potomstwa: Błogosławione niechaj będą dziatki nasze! Pokój i pogoda niech zamieszkają w domostwach naszych! Niechaj kęs biały, który bierzemy wzajemnie z dłoni naszych, będzie oznaką łaski, iż wiekuista Wszechobecność zbliżyła do nas przestrzeń i czas i pozwoliła nam płynąć przez wspólny strumień doli!...

Nastrój świąteczny ogarnął serca. Ciche ściany domów rozbrzmiały szczebiotem szczęścia, zapromieniały uśmiechami. Jakiś szept serdeczny otulił dusze zachwycone: Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli. Nie smućcie się, nieszczęśliwi, bo oto przychodzę z rozkazaniem nadziei...

Szept uleciał dalej na skrzydłach wiatru i roznosił dobrą nowinę po więzieniach i cytadelach, po katorgach mroźnego Sybiru, przepłynął ocean, powtarzał ją na drugiej półkuli. Nie opuścił żadnego miejsca, doleciał wszędzie, gdzie były dzieci, polskim chlebem wykarmione, skropione łzami polskiemi. Przynosił wszystkim rozkazanie nadziei...

Błogosławiony wieczór, jedyny na rok długi, dzieliciel chleba białego — na sojusz

wieczysty doli i niedoli! Koiciel krzywdy i bolu, rozdawca nadziei! Błogosławiony jedyny wieczór, w którym szept serdeczny zlatuje na chwilę na ziemię mogił i krzyżów! Zlatuje na chwilę i odlata, ażeby wrócić aż za rok, osuszyć łzy, uchronić od rozpaczy, przypomnieć nadzieję...

Po odlocie jego ileż razy zerwał się orzeł białopióry i wezwał braci na dzień wyzwolenia! Ale strudził skrzydła na wysokościach i usiadł znużony na skałach niedoli. I tylko wróżby zostały i świty w dalekości, a bracia w męce zostali i gorżkiej tęsknocie. Aż przyjdzie wieczór, w którym wróci i już nie odleci.

Lecz nie nadszedł czas. Jeszcze nie wszyscy bracia zrozumieli, że rozkazanie nadziei, to nie pociecha dla serc słabych i ducha małego, ale hasło czynu dla ludzi mocnych i wielkiej wiary. Inaczej grzech zaniedbania poprawiony być nie może i nie może być wybawienia...

Ziemio moja rodzona! Karmicielko moja i przyszła mogiło! Ziemio przodków i spółrodaków! Kiedyż wydasz synów, którzy pokochają Cię do zapamiętania! Którzy wyplenią kąkol słabości, zwątpienia i niemocy! Którzy podejmą nieubłagany czyn i staną się ludźmi wolnymi na wolnej ziemi rodzonej!

Kiedyż zrodzisz pokolenie, co stanie się godnem, ażeby w wieczór wigilijny i na każdy dzień spożywało chleb biały, w świętych wnętrznościach twoich wypiastowany! Który nie będzie już chlebem nastroju tylko świątecznego, chlebem niewolnika...

Barbarzyński zaborca kradnie nowy kawał ziemi rodzonej. Gdzież głos, któryby zbrodnię napiętnował. Gdzież czyn brata, bliźniego nawet, co kładzie żywot dla ocalenia brata. Ziemio nieszczęśliwa! Synowie twoi polubili kajdany i obroże, zapomnieli o ofiarach, budują kruche lepianki samolubstwa, a wróg rozmiata je w niwecz. Tańczącymi stali się niewolnikami, niegodni chleba, który hojnie rozdajesz.

Jedni milczą, jak gdyby zaniemieli. Pruska polityka przeżarła serca, zamknęła usta. Najbardziej umęczeni, a przecież winni, gdy milczeć nie wolno.

Drudzy, jakby na urągowisko, rozprawiają o gwałcie, jako o akcie wewnętrznym państwa knuta, szubienic i rozbojów. Nie inaczej rozumowali dyplomaci Targowicy, taksamo Moskal plwał im w usta obelgami i rozdawał złote łańcuchy za upodlenie i wysadzane brylantami tabakiery.

Najswobodniejsi przerazili się skromnej interpelacyi i znieważyli samych siebie, redagując w ustroniu klubowem frazesy manifestu, co przypomina nicością bańki mydlane. Odważni w ciasnem kółku, tchórze wobec obcych.

Ojczyzno nieszczęśliwa! Gdyby Cię można frazesami patryotycznymi odbudować, byłabyś wielką, jak cała Europa. Lecz gdy Cię trzeba czynami budować, kawałka ziemi nie masz na mogiłę. Dzisiejsi przedstawiciele Twoi już nie czynów, słów nawet zapomnieli, gdy te słowa wydać się mogą czynem.

Nie tak robili konfederaci barscy. Nie tak robił Kościuszko, nie tak legioniści, nie tak ofiarnicy z r. 1831-go, 1848-go i 1863-go, nie tak się działo w r. 1905. Zwycięstwa — prawda — nie odnieśli, ale cześć narodu ocalili, ale prawa najświętsze przypieczętowali krwią, ale prawa te przekazali potomstwu niczem nieskażone. A byliby nieraz zwyciężyli, gdyby mali sercem przedstawiciele nie przedyplomatyzowali wielkiej sprawy frazesami manifestów i lękiem o dobra dziedziczne.

Jak człowiek, tak i naród, tyle tylko ma prawa, na ile zasługuje. Jak człowiek, tak i naród, tyle tylko ma wolności, ile jej sobie zdobyć potrafi. Kto praw swoich nie jest i nie chce być świadomym, utyje w bezprawiu, ale praw nie posiędzie. Kto o wolność nastawić się nie umie, w złotej chodzić będzie obroży, ale nie zdobędzie wolności.

Nowa sromota spada na imię polskie. Przedstawiciele wtulili głowy w ramiona i sądzą, że czynią mądrze, bo dyplomatycznie. Nie wiedzą o tem, że sprawiedliwość mimo wszystko utwierdza się coraz bardziej w umysłach narodów, że żaden wzgląd szowinizmu nie może jej przytłumić, żadna racya stanu nie może jej na długo podeptać.

Nie wiedzą o tem, że trzeba szanować samego siebie, aby być szanowanym przez obcych. Nie rozumieją, że brak protestu wobec obcych może być równoznacznym z wydaniem na samego siebie dekretu śmierci.

Smutny będzie tegoroczny wieczór wigilijny. Szept serdeczny nie rozejdzie się po ziemi polskiej ze słowem nadziei. Zbyt bowiem rozmnożyły się grzechy: powysychały serca, dusze pozastygały.

Lecz nie! Wszak rzesze mnogie czują i kochają. Wszak onę nie winne, że na szczy-

tach niemoc i zwątpienie. Szept serdeczny nie zapomni o nich, nie zostawi bez pociechy. Tyle już przecierpiały, przecież przetrwały. Nie straciły wiary w sprawiedliwość, więc będzie im dana.

I będzie dany im czyn, co kruszy kajdany i zrzuci z duszy narodu upodlenie ślepych i małodusznych, zdeprawowanych w niewoli, nie wierzących w sprawiedliwość.

Z nimi wszystkimi, z braćmi naszymi, ktorzy nie stracili wiary i miłości, dzielimy się opłatkiem, chlebem wspólnym wspólnej naszej ziemi. I mamy niezłomną pewność, że dusze nasze, choć ciała oddalone, skojarzą się w jednem uczuciu i jednem zawołaniu: Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli! Nie smućcie się, nieszczęśliwi, bo oto przychodzę z rozkazaniem nadziei!...

WŁADYSŁAW STUDNICKI. 2

SPRAWA POLSKA W DOBIE OBECNEJ.

Rosya jest chora na niedorozwój jej sił produkcyjnych, na dysproporcyę między jej potrzebami państwowemi, a finansowymi środkami. Dysproporcya ta wzrosła przez wojnę. Dług państwowy wzrósł z 6 do 8 miliardów rubli, armia i marynarka wymagają miliardów na tworzenie broni, zapasów, amunicyi, okrętów — też wszystkiego, co zniszczyła wojna.

Ani kwestya agrarna, która zaostrzyła kryzys państwowy Rosyi, ani kwestya robotnicza nie zostały załagodzone.

Okres rewolucyi tylko rozniecił i pogłębił istniejące społeczne i hierarchiczne antagonizmy. Okres reakcyi roznieca antagonizmy między rosyjską a nierosyjską ludnością;- rząd bowiem dla zatarcia wspomnień porażek i ugaszenia iskier rewolucyjnych, rozrzuconych przez kryzys państwowy, usiłuje z wielkiem powodzeniem skierować społeczeństwo rosyjskie przeciw nierosyjskim narodowościom Rosyi, co wzbudza wśród nich przeświadczenie, że polepszenia swego losu przy współistnieniu z Rosyą spodziewać się nie mogą. Dawniej militaryzm wycieńczał finansowo Rosyę, a miała ona do obrony jeden tylko front. Dziś, gdy Japonia militarna i zwycięska stanęła nogą w Azyi Wschodniej, panując w Korei i Port-Arturze, gdy może w każdej chwili skoncentrować swe wojska na kontynencie Azyi, Rosya musi się wycieńczyć dla obrony kraju nadmorskiego. 600,000.000 rubli, wyasygnowanych na budowę kolei nadmorskiej, to tylko część wydatków, niezbędnych na Dalekim Wschodzie.

W 1908 r. Rosya buduje 1000 km. kolei żelaznych w Azyi, kolei, nie mogących się rentować, a tylko 300 w Europie.

Zbrojny pokój Rosyi z Chinami i Japonią wycieńcza jej gospodarkę państwową i narodową. Wszelkie „porozumienia“ z Japonią odwlekają tylko, ale nie usuwają nowego starcia rosyjsko-japońskiego, zabójczego niemal dla Rosyi.

Obok Japonii odradzają się militarnie Chiny, posiadające instruktorów japońskich w swej armii, mające już przeszło półmilionową, dobrze wyćwiczoną armię. Granica chińsko-rosyjska ciągnie się około 15.000 wiorst, jej obrona wieść musi ku ruinie Rosyi. Zlikwidować kwestyę azyatycką, wycofać się z Azyi Rosya nie może, gdyż nie może wyrzec się Syberyi, swego terenu kolonizacyjnego, w którym już ma 8 mil. ludności rosyjskiej.

Opanowanie półwyspu Bałkańskiego, zabór Słowian bałkańskich i austryackich jest tradycyjną dążnością Rosyi. W XVIII w. Rosya wchodziła z Austryą w przymierze przeciw Turcyi, Austrya bowiem też ma tradycyjną dążność do zdobyczy na Bałkanach. Lecz gdy w zdobyczach na Turcyi uczyniła Rosya postępy, Austrya z dawnego sprzymierzeńca Rosyi w sprawie wschodnio-europejskiej, stała się na gruncie tej sprawy antagonistką Rosyi. Już podczas wojny 1828 r. swą forsę dyplomatyczną wytężała Austrya przeciw Rosyi, w 1854 roku zmusiła Rosyę wycofać się z księstw naddunajskich i przez cały czas wojny krymskiej sztab generalny austryacki opracowywał projekty wyprawy na Rosyę.

Wojnę rosyjsko-turecką 1877 r. rozpoczęła Rosya przy porozumieniu trzech cesarzy. Pomimo to stanowisko Anstro-Węgier podczas tej wojny było dwuznaczne. Budapeszt illuminował się przy każdem niepowodzeniu Rosyi; w Galicyi, zwłaszcza we Lwowie, wrzało i kipiało przeciw Rosyi. Tylko Czesi i inni Słowianie austro-węgierscy sympatyzowali z Rosyą. Austro-Węgry cały czas się wahały. Po wojnie Austro-Węgry okupowały Bośnię i Hercegowinę.

Cesarz Franciszek Józef pragnął tych prowincyj, jako pleców dla Dalmacyi. Andrassy, owoczesny minister zagraniczny, wolałby zdobycia pleców dla monarchii Habsburgów — Królestwa Polskiego. Niestety, rzecz ta została odroczona.

Rosya czuła się obrażona okupacyą austryacką Bośni i Hercegowiny i gdy tylko po wojnie tureckiej odbudowała swe finanse, zajęła wrogie względem Austryi stanowisko. W okresie od 1888 aż do 1894 r. wojna austro-rosyjska, czyli raczej trójprzymierza z dwójprzymierzem, była blizką. Głody w 1891 i 1892 r., jakie nawiedziły Rosyę, ostudziły jej wojenny animusz. Od 1894 r., wojny chińsko-japońskiej, uwaga Rosyi zwraca się już w inną stronę, pochłonięta jest przygotowaniem się do wojny wschodnio-azyatyckiej.

Wewnętrzną politykę Austryi w tym czasie dezorganizuje hr. Badeni, zaostrzając antagonizm czesko-niemiecki swemi niebacznemi rozporządze-

niami językowemi dla Czech. W Austryi przejawia się dosyć silnie ruch wszechniemiecki. Nastraszona tem dynastya rada porozumieniu z Rosyą. Ponieważ jednak spodziewano się, że Polacy będą przeciwni zbliżeniu się Austryi do Rosyi, dla osłabienia ich dążeń w tym kierunku robią ministrem zagranicznym ograniczonego umysłowo, bardziej Austryaka, niż Polaka, hr. Gołuchowskiego, mającego przez pamięć na swego ojca wziętość u szlachty wschodnio-galicyjskiej.

Austrya nie wyzyskała pochłonięcia sił Rosyi przez ciężką i nieudatną dla niej wojnę. Sztab generalny austryacki z uwagą śledził dezercyę rezerwistów i wszystkie oznaki słabości Rosyi. W roku 1906 usunięto hr. Gołuchowskiego, następca jego, bar. Aehrenthal, w 1908 r. rozpoczął aktywną politykę Austryi na Bałkanach.

Wywołało to zaniepokojenie Rosyi; próbowała ona szachować Austryę nowem wydaniem panslawizmu z etykietą neo-słowiańską. Wypadki w Turcyi zniewoliły Austryę dokonać wcielenia dawniej okupowanych Bośni i Hercegowiny. Wywołuje to wybuch niezadowolenia oficyalnej i nieoficyalnej Rosyi. W marcu 1909 odbyła się mobilizacya armii austryackiej; część jej przeznaczona była na Serbię, część jej do uderzenia na Rosyę w Królestwie i Kijowszczyźnie. Rosya uznała aneksyę. Serbia przestała pobrzękiwać orężem. Do wojny nie doszło. Od tego jednak czasu zbrojenie się Rosyi dokonywuje się pod hasłem wojny z Austryą. Austrya też się zbroi, odbywa manewry w Galicyi. Rosya rzuca do Galicyi chmary szpiegów. Pod znakiem wojny rosyjsko-austryackiej żyjemy.

Wielka chwila nadchodzi. Wytężmy usiłowania nasze, abyśmy byli na nią przygotowani.

Wojna z Rosyą leży w interesie dynastyi Habsburgów. Sam ruch wszechniemiecki, t. j. dążność Niemców austryackich do zjednoczenia się z Rzeszą niemiecką, zakończenia procesu zjednoczenia Niemiec, musi nasunąć myśl o oparciu panowania na innych ludach.

Armia austryacka, zwłaszcza jej sztab, pragnie wojny z Rosyą, gdyż daje ona pewne tryumfy.

Z ludów austro-węgierskich wojna leży w interesie Polaków — to samo przez się zrozumiałe i w interesie Węgrów, co wyjaśnimy.

Gdy Austrya zabierała Galicyę, miała na względzie opasanie Węgier pierścieniem swych posiadłości. Lecz Galicya zwraca się nie przeciw Węgrom, ale ku Węgrom. W 1790 r. — podczas przymierza polsko-pruskiego, mającego na celu, między innymi, odzyskanie Galicyi, w Galicyi i na Węgrzech przygotowywało się powstanie. W 1792 r., kiedy Leopold pragnął załagodzić Galicyę, postulatem szlachty galicyjskiej było przyłączenie Galicyi do Węgier.

W 1831 r. większość komitatów (organów lokalnego samorządu) zwraca się z petycyami do tronu o przyjście z pomocą powstaniu polskiemu. W tym samym niemal czasie rząd polski pochwycił papiery, pozostałe po Konstantym; znaleziono tam korespondencyę rządu rosyjskiego z jego agentami na Węgrzech, bruździącymi wśród Słowian węgierskich.

Knowanie rosyjskie wśród Słowian węgierskich nie ustaje i do dziś dnia. Stąd zabór Galicyi przez Rosyę byłby dla Węgier niebezpiecznym. Dlatego

---

JULIUSZ KADEN. 2)

NOC LISTOPADOWA
WYSPIAŃSKIEGO.

II.

Pan, — służy.

Że panem jest — dlatego sługa.

Kto wolę swą rozkazuje — ten ją w rozkazaniu traci.

Kto wielkim księciem jest, — niech drży przed carem.

Kto carem jest — niech drży przed Bogiem.

Kto carów bogiem jest — niech drży przed owcą, stada, rzeszy, która w bojaźni, boga carów, boga rozkazów z siebie wywodzi.

Takie jest koło władzy.

Wszelka władza jest niesprawiedliwością. To też nikt tak gorliwie nie zazdrości władzy, nikt tak żarłocznie na nią nie dybie, jak władca.

Dlatego car zastępuje boga na ziemi, dlatego wielki książę chciałby być carem.

To — pierwszy okres.

Przed kim pan łasi się i kogo klnie najwięcej. Niepewnego niewolnika.

Odrzućmy grę słów i pojęć, gdy tu, w salonie Belwederu, widzimy Joannę w objęciach Konstantego. W objęciach najeźdźcy, kompromisowa, ugodowa Polska dotychczasowa. Polska króla Mikołaja, — lojalna. Widzenie to rzuca się w oczy, byle tylko wartości tej zbyt ściśle nie naklejać, byle nadto dogmatycznie symbolu nie nicować.

Pan — i jego dziewka, sługa.

Pan przezorny — więc i humorny.

Służ, służ — rai swojej słudze — humory zmienne mam, może się sługą upiję, sam sługę może wyzwolę, by nad wolną — panować. Nad wolną panować trudniej i zaszczytniej.

Potocznie, we wzniosłem oszustwie, nazywa się to: Cnota i kultura podbitych zniewala podbijających. — Tak się to zwie, bo tak nie jest. Bo cała humorność ta, dorywcza i choleryczna — jest tylko prowokacyą. Tu rośnie istota prowokacyi. Winni to raz na zawsze zapamiętać kulturalni niewolnicy.

Bo oczy Konstantego, oczy tygrysie patrzą w oczy Joanny, nadzieją rozżarzone i szukają w nich błysku wolności. A gdy znajdą — uderzenie obuchem między oczy: Nie, nie, jeszcze w tobie wolność pełza, ta wolność twoja własna. Nie, nie, nie wolno. Ja ją sam w napadzie humornym może dam. — Pokaż, że umrzeć potrafisz, wtedy zaręczam, że ci dam życie. Ale przedtem uspokój mnie, umrzyj doszczętnie.

Taką jest zwięzła fatalność wszelkiego narodu w niewoli kompromisu.

Lecz niewolnicy lubią i cenią cnoty przebaczenia, — czemżeby żyli. Więc — Joanno, jeśliś ty w objęciach Konstantego w imię cnót? Rozbrajający prawością Wallenrodyzm poświęcenia?...

Książę odpowie:

moja ty służebnica, — daj ust, — pić,
ja głodny
pić duszy czystość, — w uścisku
rozpalić,

to mężowie stanu węgierscy, jak np. Juliusz Andrassy, użyli swego wpływu na sfery kierujące Austryą, dla dania koncesyj narodowych Polakom w Galicyi.

Język polski w urzędowaniu uzyskała Galicya przy współudziale Andrassego. Dla Węgier Galicya jest poduszką, oddzielającą ich od Rosyi. Im bardziej Galicya jest na biegunie antyrosyjskim, tem ta poduszka jest mocniejsza. Lecz w ich interesach leży, aby ta poduszka rozszerzyła się na zabór rosyjski. Wspominaliśmy już o tem, że odsunięcie Rosyi z Królestwa, zdobycie przez to plec dla monarchii, było myślą Andrassego.

Jeżeli ruch wszechniemiecki zrealizuje swe dążenia i Niemcy austryaccy wejdą w skład Rzeszy niemieckiej, a Galicya przeszłaby do Rosyi, to Węgry między rozszerzonymi przez nowe nabytki Niemcami a Rosyą, znajdowałyby się pod wiecznym szachem, ich pozycya w Europie spadłaby do położenia takiej Rumunii. Węgry zaś, połączone unią realną, lub dynastyczną, z Galicyą, rozszerzoną nabytkami na Rosyi, tj. całością, lub częścią zaboru rosyjskiego, stanowiłyby przeciwwagę i Rosyi i Niemcom.

Wobec tego, że zakończenie procesu zjednoczenia Niemiec naruszałoby równowagę Europy na niekorzyść Francyi i Anglii, to przygotowanie takiej im przeciwwagi, jak Polsko-Węgry, leżałoby w ich interesie.

Tak, lecz dla tych państw to rzecz dziś obojętna, daleka. Dziś każde z nich jest zaabsorbowane innymi interesami. Lecz dla nas nasze wyzwolenie, to jest oderwanie się od Rosyi, jest kwestyą naszego życia i śmierci, lub gorzej, niż śmierci — rozprószenia się wśród innych ludów, jako piąty stan, jako najbardziej poniewierana część proletaryatu. Wszak już dziś coraz to znaczniejsza część naszego narodu idzie na ciężką pracę, od której Anglik i Niemiec uciekają, idzie na poniewierkę wśród obcych, bo nie mamy państwa własnego, któreby stwarzało nam warsztat pracy na naszem terytoryum dziejowem, któreby podźwignęło kulturę naszą.

Myśmy winni wytężyć naszą wolę, rzucić ją na szalę, aby możliwa wojna z Rosyą stała się rzeczywistością. Potrzebujemy bytu niepodległego, państwowego, chociażby dla cząstki naszych ziem.

Galicya, wzmocniona przez chociażby część Królestwa, chociażby przez kilka milionów ludności polskiej, staje się siłą, która nie pozostanie na położeniu prowincyi o ograniczonej autonomii, a stanie się państwem równorzędnem z Austryą i Węgrami.

Państwo to będzie mogło w przyszłości uzyskiwać brakujące dzielnice.

Niektórzy wysuwają, jako straszaka, że Prusy zabiorą część Królestwa w razie wojny. Jest to płonna obawa. Poznańskie, Prusy Zachodnie i Prusy Wschodnie posiadają od 57 do 67 mieszkańców na kilometrze; Królestwo przeszło 90. Otóż przy zcałkowaniu tych prowincyj, z całością, lub choćby częścią Królestwa, gdy wymiana tych prowincyj z Królestwem wzrośnie, gdy Gdańsk będzie miał poza sobą duży kraj, nastanie przypływ ludności z Królestwa do tych prowincyj. Przyłączenie nowego rezerwoaru ziem polskich, kraju o gęstszej

---

białą lilijkę do żaru płomieni, —
daj ust —

Łudzić się niema co. Książę bez żadnych skrupułów spożyje wszelkie poświęcenie. Widać, jak na dłoni, że Wallenrodyzm nie popłaci.

Więc próżność, głupota, gnuśny instynkt, by dalej panu swemu otworem stać, już skoro on, pan już, skoro Joanna na sługę zasądzona.

Co w duszy? Niepraktycznie — pysznej przeszłości najdosadniejszy wykrzyknik, sława Sobieskiego (wścieka to jednak księcia) kulturalno-poetyczne prądy, literatura francuska (bawi to Księcia).

Pan lęka się wrogów. Gdy mu sługa, Joanna, na pola za oknem ukaże („jacyś ludzie tam stoją?") literatury odblasków szukająca, pan nagle dojrzy pola, na które spojrzał, same mu to podsunęły, że wrogiem jego — sumienie. Sumienie — pole ziemi, za oknami przefrymarczonego pałacu rozciągnięte.

Jestże więc inne pole na ziemiach polskich, niż zdobyte?

Jestże więc inna Polska poza Joanną?

Przekona się pan. Gwałci tę, którą już zawładnął. Może w odporach gwałconej spostrzeże wroga-sumienie, może w obronie gwałconej znajdzie tę drugą inną Polskę.

W. Książę: Pójdź!
Joanna: Precz!
W. Książę: Suko! Ruszaj!
Joanna: Najświętsza Panno!
I za chwilę
W. Książę: ...będziesz pieścić i tulić, hołubić
i wołać,
cha, cha, — co będziesz wołać...
Joanna: Najświętsza Panienko. —

Nikt jeszcze dotąd tak strasznie nie spoliczkował modlitwy niewolników.

A choć słyszy Joanna zaokiennego ogrodu szumny zew (Kto z wichrem goni tam? Kto klnie? — Przeklina — może — ciebie i mnie. —), to jednak nie unosi ją to, a poniża, a strachem i jeszcze większem poddaniem się napełnia (Pocałuj, — skon).

Nowe to akordy i pozycye w literaturze polskiej. Niebywałe, niesłychane wśród Romantyków. Nowa odmiana gehenny polskiej.

Zaokiennego ogrodu szumny zew — skradają się, już się skradają bojownicy wolności — rozpręża w Joannie słabiutką, wstrętną chuć — ambicyę:

Joanna: Ty mój, — kochanku, — panie —
W. Książę: Dam tobie królowanie
Joanna: W kościele Świętego Jana.
W. Książę: Carstwo.

Jeszcze w tobie wolność pełga, ta wolność twoja własna. Zdradziłaś się. Że — „tam czekają i rwą się już". Ja sam tę wolność w napadzie humornym może dam. „Jaki bunt? — Ty znasz?" Ugodowych marzeń wspólnikowi-prowokatorowi krzyknęłaś — cesarski szpieg!

Uzbroił się rozbrajający Wallenrodyzm? — Zapomniałaś, że pan, że panowanie, to — skręt.

Ty „z duszy wydobyła podłość", „ty moja kaźń, — ty boska".

Tyś jest zdobyta igraszka władzy.

ludności, musiałoby wywołać wypychanie gospodarcze niemieckiej ludności z mięszanych prowincyj. Zwracam uwagę, że mi straszny nie jest ten pierwiastek niemiecki, który siedzi w Poznańskiem obok polskiego, ale ten, który tkwi w duszy Poznańczyka, który go uczynił „z ducha wytrzeźwionym czcicielem pieczeni“.

Otóż zcałkowanie zaboru pruskiego z częścią zaboru rosyjskiego przez wymianę idei, przez zetknięcie się bezpośrednie różnych polskich pierwiastków, wywołałoby odrodzenie duchowe zaboru pruskiego. Zabór pruski tą drogą może być uratowany dla Polski, może być wymieniony na niemieckie prowincye Austryi.

Nie sądzę, aby rząd niemiecki życzył sobie nowych nabytków na ziemiach rdzennie polskich i zmazałby przeto w ciągu lat 10 przeszło stuletnie germanizacyjne usiłowania Niemców. Całość, lub część kraju Nadbałtyckiego i, jako plecy dla niego, część gubernii Kowieńskiej, protektorat nad Finlandyą, — oto przypuszczalne nabytki Prus na Rosyi rozgromionej.

Co wezmą Austro-Węgry, to właściwie połączone z Galicyą będzie niepodległe.

Wiemy, że lud nasz, który niechętnie szedł do wojska rosyjskiego podczas wojny japońskiej i obficie dezerterował, nie pójdzie w razie wojny Rosyi z jej zachodnimi sąsiadami do armii rosyjskiej. Przy odpowiedniej agitacyi krocie tysięcy przejdą za kordon.

Odbywali oni służbę wojskową; dajcie im broń, dajcie oficera i wojskowych wyższego stopnia, a będziemy mieli armię polską. Wówczas nasza wola zaważy na szali wypadków, wówczas nie będą nas krajać, jak martwe ciało.

Wykształcenie militarne upowszechnić, przygotować, wykształcić w obcych armiach i inną drogą korpus oficerów — oto zadanie nasze. Na powstanie samodzielne przeciw Rosyi dziś nas nie stać, ale z Rosyą, zaabsorbowaną wojną, nawet nie na Zachodzie, ale chociażby na Wschodzie, możemy się zmierzyć. Na sympatye ludów nie rachujemy. Wiemy tylko, że antagoniści naszych antagonistów będą naszymi sprzymierzeńcami.

Lecz czyż współczesna technika wojskowa nie wyklucza powstania?

Bynajmniej nie wyklucza, lecz umożliwia.

Przypomnijcie, jak się rozpoczynało powstanie 1863 r. — Napad na koszary bronią sieczną i dubeltówkami myśliwskiemi. Czyż dziś nie korzystalibyśmy w podobnych wypadkach z bomb, min i t. p. środków, jakich dostarcza współczesna technika?

Współczesna bitwa pod wpływem współczesnej techniki — to partyzantka; oddziały działają rozrzucone w linie tyralierskie. Powszechna służba wojskowa wyszkoliła masy.

Trzeba tylko psychicznego i fizycznego bojowego pogotowia. Psychiczne polega w uświadomieniu konieczności walki o byt niepodległy, państwowy, walki zbrojnej z Rosyą. Fizyczne — w wytworzeniu kadr bojowych na przyszłe powstanie.

Jest wiele sił w narodzie,
Jest dużo, mnogo ludzi,
Niech tylko duch w nich wstąpi
I sennych niech obudzi.

Igraszka, podłością nie wskrzesi szlachetności.

To władzy drugi skręt: Władza musi być zdruzgotana. Nie masz innych wyzwolin.

Czy ją zdruzgocą orłowie w chmurze?

Wicher powiał szumem...

Ogród gada...

Najpyszniejszą sławę, najgłośniejszą gloryę porusza widmowy blask księżyca. Na moście wspięty posąg Sobieskiego.

Upadłeś losie, więc smakuj piołunową analogię. Przeżujno dawne słowa sławy: Przedmurze Chrześcijaństwa... Salvator...

Salvator na cudze pola najazdy barbarzyńców wypłaszać jeździł. Teraz Salvator buławę w okno tęży, za którem — „kościele świętego Jana — carstwo“. Cóż pozostało z Salvatora. Nietylko giest, nie tylko ruch, nie tylko poza.

Goszczyński: Jak gdyby rozkaz daje nam.

Rozegra się już wnet to, co się wrogom, gdy na zawojowane pola spojrzą, objawia, jako wróg-sumienie.

Tu stoją, co miecz wyorali z roli, ci, rwący się do broni.

W straszny rozgłos spraw wpletli się milczeniem swego czekania.

— „Bije godzina“.

Waży się nad nimi ważniejsze od nich samych, to, co ich tu z wiewnym szykiem buntu na uwięzi trzyma, co im miecz dało z roli... Ziemi postać.

Przechodzi Demeter i córka kwitnienie, nawrót wiosny wzrost lata — Kora.

Musiało się stać, by się tu ukazały ludzkich spraw głębie, najbardziej jedyne.

Jesieni życia odpowiada jesień ziemi.

Stać się musiało, nim krew popłynie, gdyż inaczej, jakożebyśmy znali najniższe dno spraw, wnętrze ziemi, na które krew wylana osiędzie?

Uwiąd się żegna z kwitnieniem, rozkwit się żegna i odchodzi, odchodzi, odchodzi ku dalszym rzeczom tajemnym.

Tajemnym? Nie słucha tego matka ziemia, niby, własnej sile — córce Korze wiary dać nie jest w stanie.

Więc nareszcie pada słowo córki Kory, co idzie za daleki „Styg“ słowo okrężne, jutrzejsze, dzisiejsze, wczorajsze, onegdajsze, słowo z poza rozumienia człowieczego i poza walki.

U m i e r a ć m u s i , c o m a ż y ć.

Wielkość! Wielkość twarda, okrutna a słodka.

Nim się oczy wojowników ostatni raz w spazmie konania rozewrą, jużeśmy usłyszeli. Tylko wara — prawdę tę dosłownie w czyny pleść, gdyż ołowiem zaciąży.

Nie nasza, nie wasza prawda — a ziemi.

Bezkres dalszy od wszystkich naszych spraw, nadzieja pełniejsza od najśmielszego spodziewania się naszego.

Dla wiadomości nieśmiertelnego porządku już wiecie, że Kora w nieśmiertelnych wieńcu wróci.

Ale ta wiadomość, to najmądrzejsze z mądrych wejrzenie Wyspiańskiego, dalekonośne do niesłychanej dali, poza najśmielsze teorye marzycieli, wejrzenie to (by się fatalnem lenistwem nie stało) leżeć w nas musi bierne, leży w życiu i leży w ziemi — bierne.

(C. d. n.)

W. LIS.

SOJUSZNICY ROSYI.

Potęga wielkich państw opiera się nie tylko na bagnetach i dreadnaughtach. Służy jej cały szereg innych czynników, nawet takich, które niekiedy w polityce wewnętrznej grają rolę opozycyi, gdy na zewnątrz jednocześnie przyczyniają się do zwiększenia *prestige'u* danego państwa. Jak znakomitym sojusznikiem państwa Hohenzollernów jest nauka niemiecka! Wzbudzając szacunek do „narodu myślicieli“, wpaja ona w umysły ludzkie to przeświadczenie o jego niezłomnej potędze, które jest lepszą ochroną granic od tuzina miejsc ufortyfikowanych, a w czasie wojny stanowi połowę wygranej. Ile korzyści przyniosło Francyi powszechne, przed r. 1870, przeświadczenie o jej geniuszu militarnym, jak wielu cudzoziemców gotowych było zawsze popierać politykę francuską w nadziei, że ona przyczyni się do powodzenia ich dążności rewolucyjnych! A czyż Rosyi nie pomagają — zwykle bezwiednie — liberaii rosyjscy, piejący hymny na cześć jej ruchu wolnościowego, wyzwolenia kobiet w Rosyi, jej filozofii i dramatu, demokratyzmu, przepaścistych głębi myśli społecznej jej chłopa... Tołstoj i Gorkij pomagają potędze rosyjskiej obok Kokowcewa lub Stołypina, gdyż zmniejszając nienawiść do tej potwornej zmory, grożącej rodowi ludzkiemu, pozwalają zapomnieć, że najlepszym sposobem rozwinięcia zdrowych zadatków, posiadanych przez naród rosyjski narówni z innymi, jest rozbicie państwa, które go dławi.

W dziedzinie polityki Rosya do niedawna mniej była szczęśliwa. Właściwie, najgłówniejszym jej atutem w polityce międzynarodowej było bezgraniczne, często wręcz naiwne przeświadczenie o jej potędze. Ono paraliżowało siły powstańców w r. 1831, nie pozwoliło Napoleonowi III dokonać bardziej poważnej próby zadania jej ciosu śmiertelnego podczas wojny krymskiej, a w niezliczonych wypadkach powstrzymało państwa europejskie od reagowania na brutalny cynizm polityki rosyjskiej. Poza tem jednak ogólny kierunek polityki światowej był do końca ubiegłego stulecia dla Rosyi niekorzystny. Ekspansya rosyjska odbywała się bowiem w kierunku Turcyi, Azyi środkowej i Chin. czyli państw, które zdawały się być skazanemi na zagładę i z tego powodu stanowiły przedmiot pożądliwości innych mocarstw, przedewszystkiem Francyi i Anglii, lub potrzebne im były dla zabezpieczenia granic ich posiadłości przed groźbą najazdu rosyjskiego. To też, w ciągu całego w. XIX toczy się, między Prutem i Dunajem a ujściem Amuru do oceanu Spokojnego, wojna podjazdowa między Rosyą a jej antagonistami zachodnio-europejskimi.

Z chwilą, gdy narody wschodnie zaczęły się odradzać i probują umocnić swą samodzielność, sytuacya się zmieniła. Turcya staje się groźnym konkurentem dla wszystkich państw europejskich, które posiadają mahometańskich poddanych. Persya konstytucyjna i wzmocniona może przyczynić się do rozwoju ruchu niepodległościowego w Indyach. Chiny odrodzone zagrażają Indochinom francuskim, Japonii, Stanom Zjednoczonym, każdemu państwu, które wykroiło sobie z terytoryum chińskiego jakąś „koncesyę“ lub „dzierżawę“. Zjawia się solidarność interesów między Rosyą i innymi szakalami, pasącymi się ścierwem azyatyckiem. Na szczęście, pierwszą ofiarą tego przewrotu była Rosya sama, którą osłabiły cięgi, otrzymane od najstarszego z azyatyckich przedstawicieli konstytucyonalizmu — Japończyka. Ten stan osłabienia jest po chwilę dzisiejszą taki, że dyplomacya rosyjska, przy całej swej przewrotności, stale spotyka się z klęskami. Nie udało się jej stworzyć federacyi bałkańskiej pod swym protektoratem, nie zapobiegła aneksyi Bośnii, nie potrafiła obronić Serbii, z Krety nie zdołała uczynić państwa niezależnego, a ostatnimi czasy musiała odstąpić od dwóch zamiarów — uzyskania wyłącznego przywileju przesyłania przez Bosfor i Dardanele swych statków wojennych oraz osadzenia detronizowanego Mahometa Alego z powrotem na tronie perskim lub anektowania Persyi. Są to fiaska bolesne, dobrze illustrujące faktyczną bezsilność Rosyi, idącą w parze z jej ostentacyjną bezczelnością.

Europa kapitalistyczna, imperyalistyczna, gładzi teraz Rosyę po głowie i czule na nią spogląda. I jeżeli państwu carów grozi jakie z tej strony niebezpieczeństwo, to tylko w następujących dwóch wypadkach: albo które z państw europejskich przyjdzie do przekonania, że prowincye nadgraniczne Rosyi stanowią jednak najłatwiejszy łup do zdobycia i warte są wojny, albo jedna z szowinistycznych klik, walczących w Rosyi o władzę, sprowokuje wojnę swemi zbyt bezczelnemi pożądaniami, lub wystawi interes państwa na ryzyko, próbując bronić swych osobistych, materyalnych interesów (jak w r. 1904). Póki zaś to nie nastąpi, Rosyi nieraz jeszcze może uda się urwać tu i ówdzie źle strzeżoną prowincyę, lub zawrzeć wygodny traktacik.

Tak wyglądają współcześni sojusznicy Rosyi. A nie przeszkadza to wcale działaniu jej dawnego, ongiś tak skutecznie działającego pomocnika, niezniszczalnemu, jak głupota ludzka, trwaniu wiary w bezgraniczną potęgę Rosyi. I rzecz szczególna, czynnik ten usadowił się najtrwalej właśnie w tym narodzie, który miałby największy interes w jego pozbyciu się, — u nas.

Cała porozbiorowa nasza historya daje nam dramatyczne przykłady paraliżowania sił polskich nie przez faktyczną przewagę Rosyi, lecz przez przeświadczenie o jej niezwyciężalności. Chłopicki, Skrzynecki i Czartoryski obawiali się jakiego bardziej świetnego zwycięstwa nad armią rosyjską, gdyż, ich zdaniem, mogło to tylko rozdrażnić cara. W r. 1863 oglądano się bardziej na dyplomacyę europejską, niż na masy ludowe. W 1905 i 1906 istnieli tak naiwni „rewolucyoniści“, którzy sądzili, iż wyrzeczenie się niepodległości ojczyzny będzie niesłychanie mądrym i doniosłym czynem politycznym.

Si parva magnis comparare licet — coś podobnego widzimy i dzisiaj. Ta Kassandra, która przybiegła z nad Newy do Wiednia, aby powstrzymać Koło polskie od interpelowania w sprawie chełmskiej, — to typowy przykład niewolnika, gotowego gryźć rękę, która próbuje zdjąć mu kajdany. Strach, bezgraniczny strach przed Rosyą, obawa każdego

energicznego czynu, nawet nie przez siebie dokonanego, przywiązanie do korytka, które zawiera wprawdzie tylko podłe i cuchnące pomyje, ale na razie wydaje się być z łaski pańskiej zapewnionem, — oto psychologiczne podłoże intrygi Koła petersburskiego przeciwko interwencyi w Wiedniu. I gdyby u nas życie polityczne żywszem biło tętnem, to po fakcie tym powinienby wybuchnąć huragan oburzenia, w którym utonęłoby i Koło petersburskie i wszelki wogóle udział Polaków w Dumie.

Nie łudzimy się, by to miało nastąpić — i z tem większą bezwzględnością będziemy w każdym wypadku zdzierali zasłonę z jawnych, lub utajonych sojuszników naszego głównego wroga.

RES.

CZARNE DNI.

...Nasz naród jak lawa:
Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa.
Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi.
Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi!

W szarzyźnie powszedniej polityki i w jaskrawości chwil przełomowych, w pospolitych trudach i w wielkich zmaganiach się, w starej niedoli i wśród nawałności nowych klęsk — zawsze mamy do czynienia z tą „zimną i twardą, suchą i plugawą" skorupą naszego życia narodowego. Czy chodzi o dobrobyt i kulturę klas pracujących, czy o wolność nauki i sumienia, czy o odparcie ciosów najezdniczych — zawsze w poprzek staje „czoło narodu", narodowa śmietanka, reakcya przywileju i posiadania, ugody i lokajstwa politycznego. Targowica nie zginęła w pomroku dziejów, obarczona przekleństwem zaprzedanego i zdradzonego narodu. Ona żyje i tyje, zmienia tylko swój kształt i strój, wycofane z obiegu, przestarzałe frazesy zastępuje nowymi — ale nie ginie, nie usuwa się, nie ustępuje. Owszem tem bezwstydniejszą się staje, im umiejętniej przebiera się, im lepiej udaje się jej za maską świętobliwą ukryć oblicze wszetecznicy i czcigodną matronę udawać.

Naiwny tylko mógłby sądzić, że gwałt chełmski zatrzęsie trzewiami nawet naszych klas panujących, że w obliczu wroga, który nie zna pardonu, który na pokorę odpowiada gorliwszem knutowaniem, który niczego i nikogo w Polsce nie oszczędza, że w obliczu niesłychanego barbarzyństwa nawet nasza dyplomacya shańbiona, nawet nasza urzędowa polityka sprostytuowana ocknie się, dreszczem oburzenia przejęta, że wyprostuje się dumnie, że przemówi godnym, dzielnym, polskim językiem. Ale tak może sądzić tylko człowiek naiwny, który nie wie, czem jest niewolnik, tyjący na swojej „ojczyźnie prywatnej", czem jest klasa, pośród narodu uciemiężonego z losem pogodzona i z geszeftem pobratana, czem jest „zimna i twarda, sucha i plugawa" skorupa narodowa.

Więc Chełmszczyzna dała pole do popisu tej polskiej dyplomacyi wszetecznej, tej ugodzie lokajskiej, tej nędzy płaszczącej się.

Jęczy „Koło polskie" w Dumie petersburskiej, na gruncie „państwowości rosyjskiej" stojąc. Czego ono nie czyniło w dotychczasowych swoich niesławnych dziejach, aby rządowi carskiemu dowieść, jak tanim kosztem można je nabyć, czego nie czyniło, aby się przypodobać, przymilić, przystosować do knutowładztwa! Zwalczało rewolucyę w Królestwie, nie cofając się nawet przed „krwi bratniej" przelewem, ofiarowywało caratowi jeszcze obfitszy „bratniej krwi" przelew wzamian za autonomię, denuncyowało urzędników austryackich, że ułatwiają przemycanie broni do Królestwa, przeznaczonej dla partyi socyalistycznej (art. Dmowskiego w „Słowie polskiem"), uroczyście głosowało za kontyngentem rekruta, ażeby żołdak rosyjski bronił „odnowionej Rosyi" przeciwko wrogom zewnętrznym. A gdy okazało się, że „odnowiona Rosya" jest Rosyą wyjców czarnosecinnych, „Koło polskie" skromnie pogodziło się ze swą rolą „chodataja po diełam", faktora, który korzysta z Dumy, aby załatwiać tam różne drobne interesiki i targować się o drobne ulgi. Aby załatwiać te geszefciki, stanęli wraz z czarną seciną na gruncie „państwowości rosyjskiej". Za pomocą „neoslawizmu" Bobrińskich i Kramarzów chcieli podejść gospodarzy tej „państwowości" i wytargować sobie lepsze miejsce w wiernopoddańczej menażeryi. Gdy nie powiodła się i ta dyplomatyczna sztuczka, pogodzili się ostatecznie ze swą dumsko-faktorską rolą. I gdy zahuczał grom chełmski, oni wśród burzy umieją tylko biegać naokół i żałośnie potrząsać poświęconym dzwonkiem wiernopoddańczej swojej „państwowości". Eulogiusz i Makarow i Puriszkiewicz kopią bez ceremonii to haniebne przedstawicielstwo polskiej nędzy ugodowej.

Ale przy tej sposobności prócz kopnięć polscy posłowie dumscy otrzymują niekiedy od „czarnej seciny" niemniej, a raczej stokroć gorzej, stokroć boleśniej hańbiące — pocałunki. W debacie nad sprawą samorządu miejskiego w Królestwie „Koło polskie" — wbrew swej poprzedniej opinii, a idąc za wskazaniami p. Dmowskiego — oświadczyło się za ograniczeniem praw żydów, za rządową polityką antisemicką w Królestwie. Klaskała prawica dumska, klaskała czarna secina! A „Nowoje Wremia", korzystając ze sposobności, ofiarowało Polakom sojusz – przeciwko żydom. „Chełmszczyznę zabierzemy, a wy żydów bijcie — owszem" — oto rada i wniosek, do których czarną secinę upoważniła polityka polskich „dumców".

Ponieważ zaś „Nowoje Wremia" i Eulogiusz wściekają się z powodu demonstracyj galicyjskich, więc „dumcy" polscy drżą i błagają pokrewne dusze politykierskie w zaborze austryackim, by demonstracyom tym zapobiegły.

I politykierzy austryacko-polscy odczuwają te troski rosyjsko-polskich dumców. Więc nie biją w dzwon na alarm, lecz biegają po pismach z piskliwym dzwoneczkiem swego „manifestu", więc jeden tylko lek mają w swej apteczce na wielki ból narodowy: „spokój i wiarę", „spokój" — przy pomocy policyi, rozpędzającej manifestantów i wiarę w *nich* — w „zimną i twardą, suchą i plugawą" skorupę narodu, w Dmowsko-Bilińską lojalną politykę płaszczenia się, niewolnictwa, rezygnacyi...

JULEK.

PORTRET WSPÓŁCZESNY.

We dworze zastali „Stasia" Wapowicza, Chlewicką i Bielską w pokoju bibliotecznym przy preferansie. Antek się przypatrywał i radził Chlewickiej przeciw Wapowiczowi, albo jemu przeciw Chlewickiej, dokładając wszelkich starań, żeby które z nich „wpadło".

Gdy młodzież weszła do pokoju i zasiadła obok, Chlewicka, która miała wypieki na policzkach, spojrzała na nich złym wzrokiem.

— Tylko proszę was, siedźcie cicho! — zawołała gniewnie.

— Oho, ciocia przegrała! — rzecze Tecia.

— Moja Teciu, wiesz dobrze, że gram dla zabawy — odpowiedziała Chlewicka z godnością — chodzi mi tylko o to, żeby grać porządnie.

— Przecież to nie ja mówię, tylko ciocia!

— Zostaw te uwagi dla siebie!

— Olimpciu, Olimpciu, więcej spokoju! — rzekł do Chlewickiej Staś. — Leontynko! — zwrócił się do żony. — Rozdajesz. Nie kokietuj Wapowicza. Leontynkoo! — powtórzył, przeciągając jeszcze bardziej ostatnią zgłoskę, prawie, że zaśpiewał to imię, jakby wołał „Rondle pobielaać!!

— Ja rozdaję? — zapytała wiecznie uśmiechnięta Bielska z oczyma sennemi i bardzo czerwonemi wargami.

Chwila ciszy. Bielska rozdawała powoli, lękając się omylić.

— Same śmiecie! — tragicznie poskarżyła się monarszym głosem Chlewicka. — Ty też masz rękę! Ani jednej ludzkiej twarzy!

— Olimpciu, to nie moja wina — słodko usprawiedliwiała się Leontyna Bielska.

Znów cisza.

— Ani gęby otworzyć! — uroczyście, ze zgrozą zawołała Olimpcia Chlewicka. — Fas!

— Przepraszam panią, ale piki! — zalicytował złośliwie Wapowicz.

— Trefeleczki! — wycedził Staś, świdrując Chlewicką oczyma.

— Dlaczego ciocia pasowała? — zapytał z głupia frant Antek.

— Z czemże pójdę? Jeden goły as i...

— Goły as! — Olimpciu, jaka Olimpcia nieprzyzwoita! — Panie Bolesławie, a pan co?

— Pas!

— Biorę.

— W renonsie były dwa asy.

Chlewicka rzuciła karty.

— To jest niekatolickie szczęście!

— A widzi ciocia? — zawołał Antek.

— Karasie! — ustanowił grę Staś.

— Zwyczajne?

— Najzwyczajniejsze w świecie.

— No, bo ja nie idę.

— Ależ ciociu, dwie lewy pewne. Trzeba wisty zbierać! Oho!

— Jeszcze ojca wsadzimy — rzecze skwapliwie Antek.

— A pan idzie, panie Bolesławie? — zapytała złamanym głosem Olimpcia.

— Idę, idę... Naturalnie.

— Co będzie, to będzie. I ja idę.

Staś brał lewy jedne za drugą.

— Leżę! — oznajmił nagle Wapowicz.

— No naturalnie, i ja!

— Oboje leżą — ha, ha, ha, ha!

— Aa, to bardzo nieładnie! Mieć ośm i grać zwyczajne.

Olimpcia drżała z oburzenia.

Aż się zadyszała.

— To ty mnie zawsze namówisz! Smarkacz!

— Ha, ha, ha, ha! A dobrze nam razem?

— Bardzo proszę Stasia, bez takich żartów...

Antek uciekł z Julkiem, Czesławą i Tecią na werandę i tam rozmawiali jeszcze długo i wesoło, choć Julka ogarniał coraz większy smutek i rozmarzenie.

W bibliotece została tylko Mania, która wlazła w kąt i siadła, ogryzając paznogcie. Julkowi wydało się, że płakała. Ale nikt tego w tej milczącej dziewczynie nie zauważył.

Gdy Julek mówił Czesławie „dobranoc", podając jej rękę, miał wrażenie, że gdzieś daleko wyjeżdża i że trzeba coś powiedzieć, czy też jeszcze raz się pożegnać, czy umówić się o coś, ale ponieważ nie mógł sobie przypomnieć, o co mu chodzi, więc postał tylko chwilę zamyślony i jeszcze, kiedy szedł do siebie, czuł, że o czemś ważnem zapomniał — ale o czem?

W korytarzyku natknął się na Stasia, który na jego widok rzekł trochę za głośno do bardzo blizko niego stojącej pokojówki Maryśki:

— A panu Wapowiczowi posłałaś już na górze? Tam koło pana Juliusza?

Julek dojrzał, pomimo niejasnego mroku w korytarzu, że Maryśka się uśmiecha.

— A dyć mi już pani mówiła, że pan dyrektor dziś nocuje.

— Tak, no to dobrze. A, dobrze, że cię widzę! — zwrócił się do Julka. — Muszę ci powiedzieć, że bardzo mi się podoba, że tak mocno cenisz swoje przekonania. Wapowicz postąpił nietaktownie. Tak... Wogóle zmężniałeś.

— Dziękuję stryjowi bardzo i przepraszam, żem o mało co nie zrobił jakiejś głupiej awantury. Ale nie mogłem wytrzymać.

— Nic nie szkodzi! Bardzoś dobrze zrobił! Podobasz mi się. Jabym go może od razu trzasnął w łeb! Ha, ha, ha! No, dobranoc. A wyśpij się! Cicho tu u nas na wsi, spokojnie...

Uściskali się serdecznie. Julkowi przemknęła myśl, że nawet jakoś dziwnie serdecznie, jak na stryja.

Kiedy był już u siebie, roześmiał się na całe gardło.

— No, naturalnie! Stryjaszek tu sobie wesoło żyje! A był trochę zmieszany. Wszystkie pokojówki tu ładne. I Maryśka, i ta przy kolacyi. Domka? Domcia? Domicela? — No tak, mówią, że „zabielszczył" całą okolicę! — Ha, ha, ha!

Zaraz za nim wszedł na górę Wapowicz i zamknął się w sąsiednim pokoiku.

Okno było otwarte. Chłodne powietrze szło z ogrodu, jakby leśne, surową wilgocią pachnące.

Szło lekką, ledwie wyczuwalną falą, płynęło bez powiewu. Była cisza. Julek siadł pod oknem i nie zapalał świecy. Wśród migotliwych gwiazd stanęły bez ruchu ciemne, puszyste chmury. Bardzo daleko ktoś śpiewał, głos prawie że nie dochodził do Julka. Czasem śpiący ptak poruszył listkiem.

W ogrodzie spadła kropla rosy. Daleki głos rozpływał się w otchłani nocy, zniknął zupełnie. Świerszcz ćwierkał pod dachem, miarowo, usypiająco.

Julek nie myślał o niczem. Szły nań niemateryalne fale powietrza, z dali bezbarwnej, bez powiewu. Rosły i olbrzymiały, nakrywały go sobą łagodnie, ale przechodziły obok. Julek czuł, że mogłyby go porwać bardzo łatwo — gdyby tylko chcieć. Ale Julek jeszcze się biernie, bezwiednie opierał. Odurzająca otchłań czekała na niego, otchłań przeczysta, rozkoszna — tylko trochę odwagi...

Nagle przypomniała mu się Cesia. Drgnął. Zamajaczyło mu w sercu głuche, brzydkie cierpienie. Wstał, ale wnet usiadł znowu. Ostatecznie nic się pewno nie stało. Kiedy przyjedzie, skończy to wszystko... Czuł, że to jakoś niezupełnie tak będzie — ale odsuwał myśli męczące. Kłóciły się w nim dwa duchy, jeden przepływał przez drugiego, rozkosz i niepokój brały go w posiadanie.

Rozbierając się do snu, dziwił się, że to czyni po raz pierwszy tutaj.

— To ja dziś przyjechałem? — pytał cicho co chwila.

Położył się.

I znowu szły nań fale ciche, pieściwe, z głębin nieznanych — mogłyby go pochłonąć, gdyby się im powierzyć. Czuł się wolnym — pierzchała rozterka. Myślał o Czesławie, o Wapowiczu, o Marze... Lubił ich wszystkich. Tak, nawet Wapowicza... Czesława... Oddychał szybciej. Nie, nie myśleć o niej. Raz się tylko kocha — dodawał z niezmierną tęsknotą, wyobrażając sobie Jadzię. — Oh, jakże tęsknił za nią. Ona! jakże ją kochał! Ona tu powinna być! Jejby dobrze było z Czesławą... z Marą... Mara — kto to jest? Nieszczęśliwe stworzenie. Jednego kochała — straciła go — pewno z własnej winy — poszarpała go dzikiemi rękami, chciwemi pazurami (jak myślał muzyk) — a potem szukała, szukała... „Niema szczęścia na świecie!“ Tak, pewno, że niema... Jakże tęsknił do Jadzi! — Ten jej śmiech dźwięczny, młodzieńczy. Czemu to raz się tylko kocha? Biedna Mara, ogień spętany, tęsknota, straszna, dzika tęsknota — do czego? co? — Rozkosz? Miłość? — No tak, tak, ale co to jest miłość?... Czesława jest cudna, cudna, złudna, mocna, cicha, szczera, namiętna... Namiętność!! — — Czy ja to znam? Co ja znam wogóle? Co? — co dalej?...

Byłby zasnął, ale zastanowił go nieuchwytny szmer, jakby ktoś szedł cicho, jak kot po schodach. Raz tylko stopień zatrzeszczał cichutko... Kto to może być? — myślał Julek wpółsennie.

W tej ciszy słychać było chyba najlżejszy oddech, poruszenie ręką. Julek odczuł raczej, niż usłyszał, że drzwi Wapowicza się otwierają i coś, jak duch zaszeleściwszy, tam weszło — drzwi zamknęły się już wyraźniej, a potem cisza jeszcze większa.

Cóż on się tak włóczy? choć nie, wcale nie wychodził — majaczyło Julkowi niejasno. Ktoś przyszedł... Kto to chodzi tak cicho, co?

Nie mógł sobie przypomnieć, ale już prawie wiedział i uśmiechał się nawet z tej plotkarskiej myśli. „No, no... ładnie się tutaj bawią... Biedna Mara...“

Nagle uczuł wielką przykrość. Przypomniał sobie, kto szedł po schodach z nim razem tu na górę. I jakieś dziwne spotkanie ich ze sobą... te drobiazgi spojrzeń... Żar mu buchnął do głowy ze wstydu na własną myśl o stryjence.

— Cóż za okropne przywidzenia!

— Chociaż kto wie?

Zaciekawiła go nagle ta myśl swoim skończonym, artystycznym cynizmem.

— A może to dlatego Mania taka smutna i płakała? Ona jedna coś musiała dojrzeć...

— Ot masz — rozkosz — namiętność! — szepnął szydersko. (C. d. n.)

ZYGMUNT KLINGER.

NOWA PARTYA.

IV.

Rzetelna i istotna asymilacya żydów dokonywa się w Polsce, jak wszędzie indziej zresztą dopiero pod wpływem wielkokapitalistycznej produkcyi i współtowarzyszącego jej socyalizmu... Wielki przemysł tratując w swoim pochodzie wszelkie prymitywy i przeżytki pierwotności, nieubłaganie proletaryzuje masę żydowską i zwolna, ale systematycznie wymusza na niej pokonanie rytualnych przepisów, piętnujących jej odrębność i przystosowanie się do form we współczesności uobywatelonych i obowiązujących. Żyd podcina „bekieszę“ i zaczesuje za ucho „pejsy“, by porzuciwszy „święte księgi“ i uliczkę żydowską pójść do warstatu lub fabryki. Tu po raz pierwszy styka się bezpośrednio z masą aryjską w jej nowożytnej fizyognomii i pierwszy skutek tego taki, że dziecko swoje zamiast do „chajderu“ posyła już do szkoły „katolickiej“. Tak warstat i fabryka przerabia starszą generacyę, szkoła młodszą. Tak formują się w nowożytnej postaci zastępy żydowskiego proletaryatu robotniczego i proletaryatu inteligencyi. I tak rozpoczyna się w życiu tej masy nowy okres, w którym do cierpień ekonomicznych przyłączają się intenzywne i coraz bardziej uświadomione cierpienia psychiczne i moralne. Schowana do niedawna w uliczce żydowskiej w skupieniu swem nie odczuwała

ona bezpośrednio antysemityzmu i nienawiści rasowej, odczuwała ją tylko poprzez dziesiątą falę. Miała zresztą równoważnik w sile moralnej, czerpanej ze zwartego środowiska. Obecnie rozsadzane, na tysiączne wysiłki jednostkowe atomizowane żydostwo wchodzi w sferę promieni bezpośrednio palących żarem pogardy i nienawiści. I im bardziej się ten nowy czynnik pracy społecznej rozwija, im bardziej się uczłowiecza i uobywatela, im bardziej się krystalizuje jako wartość pozytywna i twórcza — tem dotkliwiej i boleśniej odczuwa krzywdę nań spadającą z moralnego poniżenia. Tą — między innemi — okolicznością da się wytłumaczyć znamienne zjawisko, że największego kontyngentu wodzów i armii socyalistycznej dostarczał do niedawna robotniczy i intelligentny proletaryat żydowski. Socyalizm przynosi żydom wyzwolenie aż do najdalszych wysnute konsekwencyi. I jak burżuazya aryjska w najszlachetniejszych swoich reprezentantach wyrzeka się herbów i tradycyi szlacheckich i przechodzi do obozu socyalistycznego, wierząc, że on jeden tylko daje niewątpliwą gwarancyę uwolnienia narodu z pod jarzma niewoli i podboju — tak burżuazya semicka w najkulturalniejszych swoich jednostkach materyalnie, a często i moralnie subsyduuje partyę socyalistyczną, wierząc, że ona jedna tylko zdolna jest do zwalenia muru odwiecznych przesądów i nienawiści religijno-rasowych. Czego dokonał kapitalizm pod względem formalnym i czysto zewnętrznym, to zostało pogłębione, na wewnętrzne, psychiczne i intellektualne wartości przerobione przez socyalizm.

Ośmielę się na twierdzenie, że prawdziwa asymilacya żydów szła i idzie w Polsce drogą socyalizmu, a w każdym razie drogą przezeń stworzonego opozycyjnego, a raczej rewolucyjnego myślenia.

Rewizyi poddać należy pojęcie asymilacyi, odróżnić należy asymilacyę kulturalną od asymilacyi narodowej, odróżnić wogóle asymilowanie się, czyli zewnętrzne, formalne upodabnianie się od unaradawiania się, a wtedy wnet się okaże, że co najmniej naiwną jest nasza wiara w unaradawianie się burżuazyi żydowskiej, wysnuta stąd, że mówi ona coraz więcej i lepiej po polsku, że upodabnia się do nas pod względem form obyczajowych, że tu i ówdzie zasila materyalnie pewne zapoczątkowania kulturalno, albo polityczno-narodowe i t. p. Kto ją zna bez osłonek, z bliska, wie, że język polski i zbliżenie się do nas obyczajowe jest dla niej tylko symbolem kultury, której się dorabia, że zasilając pieniądzmi T. S. L. dla pieniędzy równocześnie nie cofnie się nawet przed „interesem" w rodzaju Rydzyny, że grawituje raczej ku „Kärntnerstrasse" i „Siegesallee", niż do Sukiennic i Wawelu, że — nie bez wyjątków rzecz jasna — jest w gruncie rzeczy kosmopolityczna, że ani kropli krwi nie byłaby skłonna, ani zdolna przelać w boju o wolność narodu i Ojczyzny. Podpatrzony u szlachty gest i frazes. Nic więcej!*)

Inaczej zupełnie ma się rzecz z asymilacyą proletaryatu żydowskiego. Tu odbywa ona drogę wręcz przeciwną, bo z wnętrza na zewnątrz, od treści nowej do nowej formy. Prawdziwego Polaka przyszłości wychowuje dziś uświadomiony robotnik polski w robotniku żydowskim. W spełnianiu swej misyi dziejowej wiedziony świadomością i poczuciem prawdziwej kultury, rozumiejąc i doceniając rzeczywisty stan rzeczy i prawo rozwoju — proletaryat polski odrzuca metodę gwałtu, przymusu i terroru i niosąc w masy żydowskie nową naukę o braterstwie wszystkich ciemiężonych, zyskuje sobie wśród nich wiarę i zaufanie, zbliża je do siebie myślowo, a w następstwie i psychicznie. Wyrazem wysokiej i dalekowidzącej myśli politycznej jest uchwalona przez odbyty niedawno kongres P. P. S. D. rezolucya: „Przyznajemy nowo utworzonej Ż. P. S. D. jej samorządne stanowisko i pole działania wśród żydowskiej ludności robotniczej, nie znającej języka polskiego, ani niezwiązanej jeszcze z polską kulturą i niezdolnej jeszcze do zupełnej spólności z walką klasową i z całą polityką, którą P. P. S. D. prowadzi w kraju".

Sprawa postawiona jest zupełnie jasno. Zamiast wdawać się w bezcelową dyskusyę nad przesądzoną dziś zresztą kwestyą, czy żydzi są narodem, czy nie, czy żargon żydowski ma warunki do rozwinięcia się w europejski język, czy nie, czy pewna odrębność obyczajowa niewątpliwie cechująca dziś żydów, jest wyrazem ich odrębności narodowej, czy tylko wyrazem kulturalnego zaniedbania masy żydowskiej, czy pewne poczucie spólnoty, które dziś jeszcze wszystkich żydów znamionuje, ma swoje źródło w ich specyficznych pozytywach psychicznych i intellektualnych, czy też w negatywnem z konieczności ustosunkowaniu się do otoczenia, opartem na pamięci spólnoty przebytych cierpień i prześladowań P. P. S. D. pozostawia robotnikom żydowskim swobodę naturalnego rozwoju, wychodząc z założenia, że wszelki przymus stwarza raczej wrogów, niż sojuszników, że z wyjątkowego położenia narodu polskiego wynika dlań wskazanie polityczne, by wszelkie mniejszości odrębne jednać, a nie zdobywać. „Uważamy natomiast wszystkich towarzyszy żydowskich w P. P. S. D., czujących się Polakami i związanych nierozdzielnem braterstwem z nami, jako pełnoprawnych członków P. P. S. D."

Jeśli się weźmie nadto pod rozwagę, że umowa między polską partyą socyalistyczną a żydowską ma zostać dokonana „tylko pod warunkiem zachowania jednolitej polityki socyalistycznej na terytoryum P. P. S. D., prowadzonej przez poską partyę" — dojdzie do przekonania, że „nowa partya" in merito nie wychodzi poza granicę siły i wpływu dawnej sekcyi żydowskiej i że jest to właściwie „wiele hałasu o nic". Demagogowie rychło się opamiętają, bo ich zresztą sam proletaryat uświadomiony do tego zmusi.

*) Już na wstępie artykułu p. Klingera uczyniliśmy zastrzeżenie, że Redakcya, udzielając mu gościnności, nie we wszystkiem podziela poglądy autora. Obecnie zastrzeżenie to musimy powtórzyć z tem większym naciskiem, że sąd p. Klingera o faktycznie zasymilowanej burżoazyi żydowskiej, przyznającej się i poczuwającej się do polskości, uważamy za przejaskrawiony i przynajmniej w znacznej części niesprawiedliwy. *Redakcya.*

BOLESŁAW LUBICZ.

LISTY Z ZESŁANIA.

Otoczeni murem bagnetów, pędzeni, jak trzoda, traktowani, jak zdeklarowani zbrodniarze, stają się administracyjni zesłańcy winnymi niepopełnionych zbrodni. Już z chwilą zapadnięcia administracyjnego wyroku, zaciera się wszelka różnica pomiędzy posądzeniem a winą, zakwestyonowaniem nieprawomyślności a zbrodnią. T. zw. „wolne“ ubranie administracyjnych, zarówno jak i szare „kazionne“ osiedleńców zdobią niejednokrotnie kajdany. Narówni z osiedleńcami pozostają oni przez cały czas trwania etapu pod wieczną grozą uderzeń, pod klątwą słownej i cielesnej zniewagi. Każdy zesłaniec jest to *a priori* rewolucyonista, który, bądź już popełnił przestępstwo, ale tak sprytnie, że nie dał się złapać, bądź jeszcze nie popełnił, ale uczyni to niezawodnie przy pierwszej, nadarzającej się sposobności. Należy więc do tego nie dopuścić. W uwarunkowanej tym zasadniczym poglądem płaszczyźnie układają się wzajemne stosunki. Co do zwykłych żołnierzy konwoju — przeważna część ich resonuje w następujący sposób: *Naczalstwo już tam wie, za co was aresztowało...* „widocznie na to zasłużyliście!“—większość z nich zresztą pociąga przedewszystkiem możność bezkarnego bicia.

Być może, w głębi biurokratycznego serca czuje rząd, że uczynił wszystkim tym ludziom niczem nieusprawiedliwioną i niepowetowaną krzywdę i obawia się ich zemsty. To ostatnie jest zaledwie częściowo słuszne. W samej rzeczy, zaledwie znikoma mniejszość admin. zesłańców są to rewolucyoniści. Olbrzymia większość — są to zwykli obywatele, lojalni lub rewolucyjni o tyle, o ile jest niem całe społeczaństwo. W zwykłych — niezmienionych — warunkach nie zagrażaliby oni prawdopodobnie osnowom rosyjskiego państwa w stopniu większym, niż zagrażają im ci wszyscy, którzy jeszcze nie siedzą, lub nie siedzieli w „ciupie“. Jedyna różnica jest częstokroć ta tylko, że są oni przeważnie młodzi, silni i zdrowi, mają przez to więcej temperamentu i mogą stać się niebezpieczniejszymi dla rządu. Staje się to niejednokrotnie jedyną przyczyną ich aresztowania i deportacyi. Co prawda niejedna z tychże — tu użyjemy żargonu więziennego i etapowego — „ofiar przekonań politycznych“ w czasie długich miesięcy, spędzanych w oczekiwaniu „wysyłki“ w cuchnących kazamatach „Rataja“, lub „fortów“ się zrewolucyonizuje doszczętu, albo wchłonie na wygnaniu od bardziej świadomych współtowarzyszy nieco szerszego poglądu na świat i stosunki prawno-polityczne w caracie; — większość jednak, powrócona do ognisk domowych i do warsztatów dawnej pracy, nie byłaby bynajmniej specyalnie groźną dla rządu.

Co do mniejszości — ta najczęściej przynosi już ze sobą swój rewolucyjny nastrój i swą jasno skrystalizowaną świadomość potrzeby walki z rządem rosyjskim. Na świadomość tę jednak nie składają się ani osobista niechęć, ani nienawiść, ani chęć powetowania własnych doznanych krzywd, ani inne, tym podobne, osobiste uczucia. Stosunek ich do rządu wypływa z innego, bardziej wzniosłego ideologicznego podłoża: — z kompleksu uczuć, uwarunkowanych socyalistycznym sposobem myślenia i czucia.

Zeznanie otchłannej grozy wydziedziczenia milionów, troska o ich przyszłość — staje się promotorem ich czynów. Jeśli staną do walki, przyczyną tego będzie nie zeznanie własnych, doznanych krzywd, lecz krzywda olbrzymiej większości narodu. Jeśli odważnie sięgną po wolność — to po wolność Polski. Jeśli będą się mścić — nie mścicielami własnej, zbrutalizowanej na etapach godności — lecz sponiewieranego dostojeństwa całego narodu będą.

Bądź co bądź, przyznać jednak trzeba, że system postępowania władz carskich, — nieuzasadnione (nawet z punktu widzenia rosyjskiego prawa) pozbawienie wolności, gnicie w wilgotnych kazamatach, stosunki etapowe i wszystkie inne szczegóły, z których się składa zesłanie, nie wpływają bynajmniej na stworzenie węzła sympatyi pomiędzy władzami carskiemi a zesłańcami — pomiędzy rządem a społeczeństwem. W zespole zesłańców znajduje rząd ludzi złamanych, bezwolnych, lub zdeprawowanych, — znajdzie zdrajców i judaszów, lub kandydatów na zdrajców i judaszów, — lecz, co pewna, to to, że nie znajdzie przyjaciół. Zresztą tych ostatnich — poza sferą biurokracyi i — Puryszkiewiczem on wogóle niema.

*

Obawa przed zesłańcami, nienawiść ku nim, oraz chęć uczynienia ich za wszelką cenę dla siebie nieszkodliwymi dyktują administracyi rosyjskiej coraz to nowe środki, zmierzające do pognębienia i zdyskredytowania zesłańców.

Do tych zaliczyć przedewszystkiem należy posługiwanie się w systemie więziennym kryminalnymi przestępcami, mające na celu wywołanie fermentu w „koloniach“ zesłańców i skompromitowanie tych ostatnich w oczach całego społeczeństwa.

Używanie do rozmaitych ukrytych celów pospolitych złodziei i zbrodniarzy nie jest wcale w Rosyi nowe. Używały już ich niejednokrotnie władze policyjne: w Rosyi — organizując przy ich współudziale pogromy i carosławne manifestacye, — w Królestwie — organizując również (nieudane tylko na szczęście) pogromy lub, (jak to było chociażby w 1905 r. w Warszawie), inicyując *en gros* wybijanie szyb w oknach i rabowanie sklepów na pryncypalnych ulicach miasta*) mniej, lub więcej

*) Wspomniany wypadek miał miejsce w styczniu 1905 r. w czasie t. zw. 1-go strejku, zapoczątkowanego przez żywioły rewolucyjne. Sprowadzono naówczas do Warszawy t. zw. „pobytowych“ złodziei, którzy, puszczeni na wolną stopę, w obecności i pod osłoną wojsk, bezkarnie wyprawiali orgie w samem śródmieściu Warszawy. Postępując tak, rząd chciał zwalić winę na strejkujące żywioły i skompromitować samą ideę strejku w oczach zamożniejszej części społeczeństwa. To jednak mu się nie udało. Zbyt przejrzystą i niezręczną była robota warszawskiej policyi. Z drugiej strony na przedmieściu Wola grasujący złodzieje spotkali się z tak skutecznem przeciwdziałaniem zorganizowanych robotników, że tam porządek w niczem zakłócony nie został. (Przyp. aut.)

podobne fakty zdarzały się i na prowincyi w Królestwie.*) Do takich faktów zaliczyć przedewszystkiem musimy sztucznie w znacznej mierze rozdmuchany w Królestwie antagonizm pomiędzy uczciwymi robotnikami a zgrają alfonsów i nożowców, żyjących w doskonałej najczęściej zgodzie z władzami policyjnemi — antagonizm, który przez czas dłuższy był bolączką i jednym z hamulców w rozwoju ruchu robotniczego w takich śródowiskach, jak Warszawa i Łódź.

Ci sami złodzieje, którzy byli posłusznem narzędziem w rękach policyi, stali się obecnie ważnym atutem w systemie policyjno-więziennym, uprawianym przez tę policyę i przez zarząd więzienny. Tym razem cios był straszliwy i dla zesłańców śmiertelny. Uderzył on w najczulszą ich stronę, — w ich moralną powagę, podrywając jednocześnie zaufanie i sympatyę, jakiemi się oni cieszyli dawniej u ludności. Niszcząc aureolę i dobrą sławę ich imienia w oczach społeczeństwa, stwarza on jednocześnie ferment, rozsadzający i druzgocący dawną harmonię ich współżycia. Sam sposób jest nadzwyczaj prosty. Należy tylko do partyi, idącej na wysyłkę dołączyć paru złodziei, ściągniętych z „pobytu".**)

Skutku tego zarządzenia przewidzieć nie trudno. Już w drodze następują niemiłe rozdźwięki. Niejednokrotnie „pobytowi" narzekają na „polityków" i na rewolucyę, dzięki której, czy którym, zmuszeni są, zamiast do Wawra, lub Konina, jechać do Archangielska, lub Wiatki, skąd drapnąć do Warszawy jest znacznie trudniej. Zdarza się, że kryminalny przestępca podszywa się pod miano „polityka" i zostaje przyjęty do „komuny" i do „kolonii politycznych".

Po przyjechaniu na miejsce zamieszkania, złodzieje zabierają się do roboty. Zaczynają ginąć kury, gęsi, prosięta; różne rzeczy, słowem wszystko to, co może zginąć u najbliższego sąsiada — tubylca, a nawet zesłańca — „polityka." Takie systematyczne przekraczanie 9-go przykazania nie może nie wywołać gwałtu. Przedewszystkiem jednak skrupia się na „politykach." Mieszkańcy przyzwyczajeni byli widzieć w każdym zesłańcu „gosudarstwiennawo prestupnika" (przestępcę stanu) i, będąc również powiadomieni o solidarności, łączącej (dawniej) wszystkich zesłańców — zwracają się ze swemi pretensyami do całej „kolonii". To zmusza tę ostatnią do podawania do wiadomości mieszkańcom, że takich a takich ona t. j., „kolonia", nie uważa za politycznych, że ten i ten są to zwykle kryminalni przestępcy, że za postępowanie tych i tych odpowiedzialności nie bierze i t. d. Wydawanie takich okólników napotyka na znaczne trudności wewnętrzne i wywołuje straszny zamęt. Zamęt ten przedewszystkiem powstaje w opinii mieszkańców, którzy nie mogą naprzód zrozumieć, a potem nie mogą się zoryentować, którzy to są prawdziwi „politycy", a którzy — zwyczajna „szautrapa"*) szczególniej, że i tamci ze swej strony wydają często odezwy. Pod wpływem tych wypadków bledną ostatecznie — i tak już poderwane przez inne czynniki — dobra sława i aureola zesłańców.**)

*) Do najbardziej być może charakterystycznych faktów należy zaliczyć następujący: Jak nas zapewniono, w paru mniejscach na prowincyi w Królestwie naczelnicy więzień wypuszczali kryminalnych przestępców na miasto, zobowiązując ich słowem, że wrócą do więzienia. Złodzieje mając zapewnioną bezkarność (naczelnicy więzienia najczęściej żyją w przykładnej komitywie z policyą) chętnie korzystali z propozycyi; robili ekskursye na miasto po dokonaniu jednak udanego, czy nieudanego zamachu na kieszeń i majątek obywateli chronili się coprędzej do więzienia. Oczywiście, że zdobytym łupem musieli się dzielić z naczelnikiem więzienia, ten zaś ze swej strony opłacał policyę. (Przyp. aut.)

**) Pobytem, wysyłaniem na pobyt nazywa się w Królestwie nie wytrzymujący najmniejszej krytyki system internowania kieszonkowych złodziei w gminach okolicznych Warszawy: złodzieje ci najczęściej samowolnie wracają do Warszawy. Złodziej wysłany na „pobyt" — zwie się „pobytowym". (Przyp. aut.)

*) Ros. słowo, niedające się ściśle przetłómaczyć; nicponie, łajdaki, szubrawcy. (Przyp. aut.)

**) O najważniejszych z tych czynników mówił autor w XLVIII zeszycie „Życia" (Przyp. Red.)

Z TEATRU.

„ŻYWY TRUP" — dramat w 6 aktach L. Tołstoja.

(*S. F.*) Przez pięć aktów, w dwóch równoległych szeregach obrazów, Tołstoj przed oczyma widza stawia dwa światy: jeden, to świat ludzi „porządnych", poczciwych, przystosowanych całkowicie do panującego porządku społecznego, drugi — to świat ucieczki przed zmorą tamtego życia, kraj zapomnienia i złudy, asylum dla tych, których piętnujemy mianem wykolejeńców. Bo życie to codzienne, szare dla takich jednostek, jak bohater dramatu Tołstoja jest przedewszystkiem szalenie nudne. Żyć z ludźmi z tamtego świata, więc z rodziną, z towarzystwem, i dalej z całem społeczeństwem, na kłamstwie opartem, obłudą zlepionem nie można, bo wstyd; śmiało rzucić się i przeciwstawić zakrzepłym formom tych instytucyi siłę swego prawa i prawdę swych myśli — do tego potrzeba być bohaterem. Dla takich więc wykolejeńców jak Fedio Portasow, pozostaje ucieczka w zapomnienie, jakiego użycza alkohol, śpiew i urocze oczy cyganki. I wzrasta jedyne pragnienie, by jak najdalej poza sobą pozostawić to życie, by opiumowany sen przy dźwiękach gitary cygańskiej trwał jaknajdłużej. Lecz i w ten sen wdziera się zmora — myśl, iż to się skończyć musi, a pozostanie znów nuda i wstręt już nie tylko do życia, lecz do samego siebie, do swej pustki.

Prócz zmory tej i życie zlekceważone goni zbiega. Wszystkich rachunków z niem zbieg nie wyrównał. Życia ucieczką okpić nie można, czynem połowicznym, zamknięciem jedynie oczu życie oszukać się nie da. W najdalszej kryjówce znachodzi Fedię, i jak wierzyciel stając przed nim, żąda wytłumaczenia się i uiszczenia długu.

Pozostaje żona, której szczęścia nie ma prawa zabijać. Jedyne nici, jakie wiążą go jeszcze ze światem, musi jakimś aktem zerwać, by formom tamtego świata uczynić zadość. Więc rozwód... Lecz do tego konieczne jest kłamstwo, podję-

cie na swe ramiona winy nie popełnionej, wywleczenie swego życia przed ludźmi. Wszystko, byle nie kłamać! Jedyny więc sposób, jaki pozostaje — usunąć się z drogi żonie i przyjacielowi dawnemu Kareninowi przez śmierć. Życie w swych konsekwencyach jest nieubłagane!

Fedia Protasow za słaby jest, by myśl, którą śmiało wysnuł z swego położenia, w czyn zmienić. Symulując samobójstwo, oszukuje dalej życie. I śmierć, jaką sobie w sądzie, w akcie szóstym zadaje, by nie zniszczyć szczęścia dawnej swej żony i przyjaciela, staje się już nie ofiarą i poświęceniem dla tych dwojga ludzi, lecz tylko ostatnią konsekwencyą życia, którego oszukać nie można.

Bohater dramatu Tołstoja to człowiek słaby, a tem, co jedna mu współczucie, to nie postępowanie, lecz jasność myśli, z jaką zdaje sobie sprawę ze swego stosunku do życia i do tamtych ludzi, nie siła w czynach ujawniona, lecz w świadomości bez bojaźni wysnuwającej następstwa, nawskróś etycznej i pełnej poczucia odpowiedzialności. Słabość nie daje mu nawet złudzeń. Szuka zapomnienia, lecz uświadamia sobie, że to tylko bezowocna ucieczka.

Tych dwanaście obrazów „Żywego trupa", to dwanaście szkiców, w których Tołstoj ledwie kilkoma kreskami nakreślił całą galeryę ludzi, występujących w wyraźnych konturach przed widzem, i tylko ponaznaczał kilka epizodów, gdzie dusze i stosunki tych ludzi rysują się całkiem plastycznie. I tak, jak się dzieło to przedstawia, jest ono raczej studyum przygotowawczem, które nie wiemy jak ukształtowałaby ręka twórcy. Szkice te mają raczej charakter epicki, niż dramatyczny.

To też wystawienie „Żywego trupa" na scenie tak umiejętne, by smutne dzieje Fedi Potasowa do końca mogły utrzymać uwagę widza w stanie naprężenia, jest bardzo trudne. Wymaga od artystów jak najsumienniejszngo wystudyowania szczegółów, od reżysera umiejętnego pokierowania tłumem w niektórych scenach zbiorowych. Prócz tego najważniejszym warunkiem jest tempo gry. Scena nasza nie wywiązała się z zadań tych bez zarzutu. Wiele błędów raziło, przedewszystkiem w scenach zbiorowych, które wykazały, że tłum, choć był i ruszał się, ale niedobrze wyreżyserowany rozpraszał uwagę widza. Tempo gry bardzo powolne. Z artystów jedynie p. Adwentowicz rolę Fedi Protasowa opracował i odegrał z takiem powodzeniem, stworzył tak prawdziwą i szczerą kreacyę, iż lepszej widzieć nie można.

SPRAWOZDANIA.

„PLANTY KRAKOWSKIE" napisał Franciszek Klein. — Wydawnictwo „Towarzystwa obrony piękności Krakowa i okolicy" — 1911 r. — str. 104. — Ślicznie wydaną tę książkę, której ukazanie się na półkach księgarskich zawdzięczamy zarówno mozolnej pracy autora, jak i owocnej działalności samego „Towarzystwa obr. piękn. Krakowa i okolicy" — przywitać należy słowami gorącego uznania. Przyświeca tej książce cel zbożny, złożyły się na nią: duża znajomość przedmiotu, sumiennie wykonana praca autorska w kierunku poszukiwania źródeł, nadewszystko zaś wielkie umiłowanie tych opisywanych plant krakowskich i świadomość, że się służy dobremu celowi.

Fachową, estetyczną, rozprawę o plantach poprzedza szkic historyczny, w którym autor zebrał wszystko to, co dotyczy genezy plant i następnego historycznego ich rozwoju. Sama nazwa planty, lub plantacye, pochodzi od wielce prozaicznego słowa plantowanie (terenu) — same zaś planty zostały założone na miejscu dawnego pierścienia baszt i murów, okalających dawny Kraków, przed 1806 r. i zburzonych na rozkaz austryackiego rządu po włączeniu Krakowa do monarchii Habsburgów. Stała się naówczas Krakowowi niepowetowana krzywda. Fortyfikacye te, zachowane, stanowiłyby nieoszacowaną pamiątkę i ozdobę miasta, stwarzając zeń jedyny, być może, jednolity pod względem charakteru architektonicznego gród Europy. Brak ich do pewnego tylko stopnia wyrównywuje obecny, powstały na skutek ich zdemolowania i na ich miejscu, pas zieleni.

Książka p. Fr. Kleina zawiera krótkie lecz treściwe uprzytomnienie całej tej drogi ewolucyjnej, jaką przeszły planty od początku swego istnienia. Powstają one na oczyszczonym z pod rumowisk terenie w okresie „Wolnej Rzeczypospolitej krakowskiej"; na ich powołanie do życia, oraz dalszy rozwój składają się żmudne wysiłki t. zw. „Komitetu Ekonomicznego", a także ofiarność i owocna praca takich jednostek, jak Floryan Straszewski, A. Kremer, Radwański i wielu innych.

W dalszym ciągu swej pracy autor zatrzymuje się nad estetycznemi zaletami plant, przechodzi do analizy z tego punktu widzenia po kolei wszystkich ich części, zakątków i fragmentów, daje surową na ogół krytykę mających ozdabiać planty pomników, podnosi liczne inne — niestety słuszne — zarzuty, protestuje gorąco przeciw uszczuplaniu plant, lub stawianiu w ich obrębie — co ma obecnie miejsce — kawiarni lub cukierni — oraz daje dyrektywy na przyszłość. Z tych podnosimy tu dwie, które uważamy za najzupełniej słuszne: 1. Planty należy przekształcić na zamknięte, stanowiące w sobie całość, ogrody, co da się łatwo uskutecznić zapomocą szpalerów, oddzielających je od ulicy i 2. (najważniejsza): O wszelkich poprawkach i zmianach decydować mają siły fachowe.

Dużo uroku dodaje książce przypomnienie rozmaitych faktów historycznych i epizodów, składających się na tło omawianej przez autora epoki Po przeczytaniu książki p. Kleina, planty, te tak dobrze znane każdemu, kto tylko był w Krakowie, krakowskie planty, nabierają nowego charakteru i nowej ekspresyi. Nie jest to już tylko taśma aksamitnej zieleni, przeżynająca szarzyznę lub pstrokaciznę murów krakowskich i służącą za osłonę przed jesiennym deszczem, lub błogim przy bytkiem ochłody i cieniu podczas letnich upałów — stają się one czemś więcej. Stają się nierozerwalną, organiczną częścią Krakowa — nie zaś jego przygodną dekoracyą — częścią żyjącą z nim życiem wspólnem — całym szeregiem wspólnych chwil i przeżyć historycznych związaną najściślej z dawną naszą stolicą. Gdy po przeczytaniu tej monografii, pójdziemy znów kiedy na melanż do Janikowskiego lub na muzykę do Drobnera, lub snuć się będziemy melancholijnie w cieniu kasztanów i lip, zdążając wiednie lub bezwiednie w stronę Collegium Novum, lub Biskupiego pałacu, być może, przypomni się nam jaki, stojący w związku z plantami epizod z lat dawnych, z za budki wody sodowej, lub niedekoracyjnego kosza od śmieci ukaże się twarz A. Kremera tak, jak ją ongi skarykaturował krakowski „Dyabeł", lub rzuci na naszą lekkomyślną beztroskę życiową krwawy refleks, wesoła, śpiewana dawniej na plantach, piosenka o „zajączku" — tak, jak ją podaje autor — o tym „zajączku", co go zabili, jako szpiega i zdrajcę narodu... tu na plantach... być może tu właśnie, w tem samem miejscu, gdzie teraz jesteśmy...

Książkę zdobią liczne, bez zarzutu wykonane fotografie; artystyczne jej zalety podnosi winieta H. Bukowskiego.

Bol. (—w) L. (—cz).

SILVA RERUM.

KOMEDYA OBŁUDY. Nie tak to dawne czasy, gdy patryoci endeccy wyszukiwali na gwałt narodowości rosyjskiej w naszym kraju. Przed niespełna tygodniem podnieśli zaś alarm o szerzenie się prawosławia w Galicyi. Czemuż unosicie się, panowie komedyanci! Toż to tylko konsekwencya waszego stanowiska. Z objawu prawosławia powinniście się radować, bo to potwierdzenie waszych Buzekowych poszukiwań. Jak prędko zemściło się kuglarstwo endeckiego frazesu, w imię którego przypisywaliście demokracyi postępowej rolę antynarodową. Spotkaliście się bardzo prędko na równi pochyłej wraz z panem metropolitą Szeptyckim. Ten pan poszukiwał znowu unitów w Rosyi i wierzył wraz z jezuitami w guście Wiercińskiego w nawrócenie Rosyi do posłuszeństwa Rzymowi. Marzył o urojonych zdobyczach, a oto skutek zadrwił z niego niemiłosiernie. Chciał zunifikować Rosyę, a oto własne owieczki przechodzą na prawosławie. Tak mści się

wszelka obłuda. „Narodowi demokraci“ ujrzeli prędzej, niż się spodziewali, owoce szowinistycznej nienawiści, metropolita jezuicko-bazyliański widzi zamiast kapelusza kardynalskiego unię odwrotną, unię własnych duszyczek z świętym synodem w Petersburgu.

Do godnej kompanii przyłącza się głos obłąkanego szlachcica Milewskiego, który czuje po rosyjsku, a pisze po polsku, który uznaje świętość katolicyzmu, a cieszy się z wyłączenia Chełmszczyzny, dlatego że ma ona powrócić na prawowite łono prawosławia. Jak to prędko komedya obłudy, choć różnemi chodziła drogami, znalazła się u tej samej mety, w morzu panrosyjskości. Jednych „naród“ tam zaprowadził, drugich „katolicyzm“, a wszystkich razem kłamstwo.

Nie wolno bezkarnie drwić z rzeczywistości i zamiast budować na niej podstawy rozumne przyszłości — okłamywać siebie i społeczeństwo. Nikt jeszcze sztucznymi środkami i machiawelstwem nie doszedł do celu. Jeżeli machiawelstwo kiedykolwiek popłacało, to tylko dlatego, że spotkało się po drugiej stronie również z machiawelstwem. Zwyciężał wtedy sprytniejszy, mocniejszy i przewrotniejszy, Wy jednakże ani sprytni nie byliście, ani mocni, ale tylko przewrotni. I dlatego dotknęło was zdecydowane bankructwo. I stało się dobrze. Może społeczeństwo się ocknie i przestanie wierzyć frazesom, a wstąpi na drogę pracy, ugruniowanej na rzeczywistości i prawdzie.

POLSKI PURISZKIEWICZ (r—s). Kto chce — niech oburza się na hr. Korwin-Milewskiego, osławionego renegata, który teraz wysługuje się Moskwie polakożercem ujadaniem z powodu Chełmszczyzny. Co do mnie — wolę zachować swoje oburzenie dla osób znaczniejszych i poważniejszych, których słowa i czyny mają istotną wagę, dla szkodników narodowych poczytalnych i odpowiedzialnych, dla rozmaitych „znanych i szanowanych“ ugodowców, których do czubków odesłać nie można, ale do wszystkich dyabłów posłać by się chciało. A cóż taki Korwin-Milewski? Czy warto oburzać się na troglodytę politykującego, na potworka wrzeszczącego, na psychopatę, który, zamiast siebie leczyć, leczy społeczeństwo, doradzając mu samobójstwo? Po co gniewać się na kiepskiego waryata, chciwego Herostratowego rozgłosu?

Korwin-Milewski to typ bardzo zbliżony do Puriszkiewicza. Obaj to — histerycy, wrzaskliwi, głupi, ordynarni, zwracający na siebie uwagę wybrykami, błazeństwami, dziką jaskrawością obliczonych na efekt sztuczek cyrkowych.

Więc jeżeli chodzi o osobę Korwin-Milewskiego, to niema racyi oburzać się, bo oburzać się można tylko z powodu spraw i ludzi, dających się traktować poważnie.

Ale *factum* Korwin Milewskiego godne jest uwagi nie z powodu jego osoby, ale w związku z tem tłem społeczno-politycznem, które taką histeryę wogóle czyni możliwą. Podobnie rzecz ma się z Puriszkiewiczem. Czem byłby Puriszklewicz bez Dumy i bez kontrrewolucyjnej krwawej orgii? Albo żyłby sobie gdzieś w Bessarabii, znany conajwyżej z burd, wyprawianych po szynkach i domach publicznych, albo byłby jakimś kacykiem czynowniczym, pastwiącym się nad chłopami i żydami. Byłby ot sobie, powiatowym łotrzykiem. Ale Puriszkiewicz jako działacz polityczny to istotnie charakterystyczny twór czarnosecinnej, kontrrewolucyjnej Rosyi.

A czem byłby Korwin-Milewski bez ugody? Zwykłym narwańcem i „żubrem“ litewskim, którego przygody i poglądy nikogo by nie obchodziły. I swoją mądrość polityczną zachowywałby starannie dla siebie i dla grona takich samych, jak on, myślicieli od zielonego stolika, knajpy i polowańka. Patologia Korwin-Milewskiego nabiera właściwego „tłusu“ dopiero na tle ugodowej polityki, której jest histerycznym, maniackim, zgoła już potwornym wyrazem, którą doprowadza do absordu. Skoro są poważni, cnotliwi, znani i szanowani mężowie stanu, którzy płaszczą się przed caratem, prowadzą politykę tchórzostwa, przystosowania się do niewoli, wyrzekania się wszelkich śmielszych dążeń, tedy muszą się znaleźć i zwaryowani ugodowcy w rodzaju Korwin-Milewskiego. Pijany helota ugodowy jest wprawdzie w pogardzie u „trzeźwych“ mistrzów ugody: ale czyż jego czkawka pijacka nie jest obrzydliwym, do absurdu doprowadzonym, odgłosem — uroczystych hymnów ugodowych?...

Z RAPTULARZA.

MOLOCHOWI NA ŻER. Niemieckie ministerstwo wojny ma przedłożyć nowemu parlamentowi szereg nowych projektów wojskowych. W Prusach wschodnich i Alzacyi zorganizowane być mają dwa nowe korpusy kosztem 60 milionów marek, nowe kredyty na flotę wojenną wynosić mają 70 milionów, wreszcie na flotę powietrzną 15 milionów m.

W Angli rozpoczęła się ożywiona propaganda za reformą wojskową, a mianowicie za wprowadzeniem powszechnej służby wojskowej.

Również Włochy rozpoczęły organizacyę nowego korpusu, mającego na wszelki wypadek wzmocnić obronę ich wschodniej granicy.

ANGLIA UZYSKAŁA od Turcyi ważny port Sulum w Cyrenaice i już go obsadziła. Ponieważ Włochy nie protestowały, prawdopodobnem jest, że musiały dawniej zawrzeć z Wielką Brytanią cichy traktat w tej sprawie.

MIĘDZY ROSYĄ A STANAMI ZJEDNOCZONYMI przyszło do zatargu dyplomatycznego z powodu żądania Stanów dopuszczenia Żydów amerykańskich do Rosyi. Stany wypowiedziały caratowi obowiązujące dotąd traktaty. Odbić się to może przedewszystkiem na wychodźcach rosyjskich do Ameryki, których większość stanowią Polacy i Litwini.

Z ROSYI. Z katorgi zbiegł jeden z wybitniejszych posłów II. Dumy socyal-demokrata Biełousow.

Frakcya socyalistyczna Dumy ogłasza dokumenty, z których wynika niezbicie, że b. poseł Karawajew został zamordowany w Jekaterynosławiu przez najętych przez prezesa czarnej sotni Dubrowina zbirów za wiedzą organów rządowych.

W Petersburgu odbyły się po raz pierwszy od czasów rewolucyi masowe zebrania nielegalne po fabrykach celem protestowania przeciw gwałtom rządowym. Uczestniczyło w nich przeszło 11.000 robotników.

Komisya Dumy rozpoczęła obrady nad reformą służby wojskowej. Celem jej jest skrócenie czasu służby, zasadniczo na 3 lata (zdanie egzaminu oficerskiego skraca czas na 2 lata) Ilość oficerów rezerwowych zostanie znacznie pomnożoną przez rozciągnięcie służby wojskowej na wiele zawodów dotąd wolnych. Nauczyciele i lekarze np. służyć będą dwa lata. Ponadto do egzaminu oficerskiego dopuszczeni będą nietylko ochotnicy nadto absolwenci VI. klasy szkoły średniej. Służba oficerów rezerwowych przedłużoną zostanie o lat 5. Usunięty będzie system oznaczonej liczby poborowych w danym okręgu dzięki czemu brano mniej zdolnych w jednej miejscowości a puszczano zupełnie zdrowych w drugiej. Nowa ustawa ma na celu przedewszystkiem znaczne podwyższenie ilości oficerów rezerwowych na wypadek mobilizacyi.

PARLAMENT AUSTRYACKI obradował nad szeregiem nowych przedłożeń. Najważniejszem z nich była sprawa polepszenia płac kolejarzy. Uchwalono przeznaczyć na ten cel 38 milionów, (rząd projektował 21 milionów). Pokrycie znajdzie się w podwyższeniu taryf. Następnie obradował parlament nad proponowanem przez rząd podwyższeniem podatków pośrednich (od cukru, piwa i wódki). Na jednem z ostatnich posiedzeń wniósł p. Malik rezolucyę w sprawie reformy prawa małżeńskiego. Austryackie prawo stanowi pod tym względem curiosum kulturalne i jest o wiele gorsze od prawa kościelnego. Głosowanie było próbą sił żywiołów klerykalnych i postępowych. Za rezolucyą głosowało 177 przeciw 198 posłów. Większość klerykalna była przeto zdumiewająco małą.

W KROACYI, gdzie osławiony ban Tomasics rozwiązał Sejm, odbyły się wśród niebywałych gwałtów wybory przy asystencyi 60 kompanii piechoty, kilkunastu szwadronów i mnóstwa zciągniętych z Węgier żandarmów. Rząd zmuszał urzędników i nauczycieli do głosowania na swych kandydatów, w dniu wyborów aresztowano wszystkich prawie agitatorów opozycyi, siedmiu kandydatów (w tem 5 b. posłów) i mnóstwo wyborców. Fiakrom zakazano wozić opozycyjnych agitatorów, groźbą odjęcia koncesyi, a gdy ci chcieli użyć automobilów, zakazano wogóle jeździć automobilami. Mimo wszystko poniósł rząd klęskę, przeprowadzając z 88 posłów tylko 25. Sam ban uratował swój mandat tylko w ten sposób, że komisarz rządowy oddaliwszy komisyę sam „obliczył“ większość 15 głosów. Również w bośniackim Sejmie przyszło do burzliwych zajść. Dwaj posłowie zarzucili członkowi rządu Horowitzowi wzięcie znaczniejszej łapówki. Przewodniczący zamiast pozwolić na zbadanie sprawy, wykluczył ich z posiedzenia. Posłowie nie opuścili Sejmu, ale w obawie, aby im nie uniemożliwiono wyjścia, rozgościli się na stałe w gmachu.

ODBITO W DRUKARNI „WIEKU NOWEGO“. LWÓW, KRZYWA 8. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“.